№ 53

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 5 LIPCA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

USTĘP Z NAJNOWSZEGO ROMANSU BULWERA:

OSTATNIE DNI POMPEI. (*)

Apecides, niespokojny i pomięszany, przez cały dzień błąkał się po najsamotniejszych przechadzkach otaczających miasto. Słońce zachodziło zwolna, gdy się zatrzymał ponad odludnym brzegiem Sarnusu,—odludnym, dopóki wód swych nie potoczy w siedlisko przepychu i potęgi. Z pomiędzy lasów i winnic widać tylko było niekiedy w przerwach miasto białe i świetne; lecz tutaj nie dochodził żaden łoskot, żaden odgłos przypominający szmer ludzi, oddających się zatrudnieniom lub uciechom. Jaszczurka i konik polny przesuwały się tylko w trawie; chwilami ptak jaki zaświergotał i ucichł nagle. Wszędzie głęboka panowała cisza, lecz nie była-to cisza nocna; powietrze było ożywione, roje owadów krążyły śród zieloności, a na brzegu przeciwnym powabna i biała *capella* gryzła trawki lub napawała się w strumieniu.

Apecides zamyślony spoglądał na płynącą wodę, gdy posłyszał obok siebie słabe szczekanie psa.

— Ciszej, biedny przyjacielu, — rzekł jakiś głos; — kroki cudzoziemca nie są niebezpieczne dla Pana twojego.

Neofita natychmiast poznał głos, a obróciwszy się postrzegł tajemniczego starca, którego widział w zgromadzeniu Nazarejczyków.

Starzec siedział na odłamie skały, starożytnym mchem obrosłej; obok niego leżał kij i sakwy; u nóg spoczywał mały długo-włosy piesek, towarzysz nie jednej niebezpiecznej pielgrzymki!

Widok starca sprawił skutek łagodzącego balzamu na umyśle neofity; zbliżył się, a poprosiwszy o błogosławieństwo, usiadł obok niego.

— Przygotowałeś się, jak gdyby w podróż, ojcze, — rzekł mu, — byłożby twoim zamiarem już nas opuścić?

— Synu mój, — odpowiedział starzec, — mała liczba dni zostawiona mi jeszcze na ziemi, i używam ich, jakem powinien, podróżując z miejsca na miejsce, aby pocieszać tych, których Bóg w imieniu swojem gromadzi, i głosić chwałę Syna Bożego, objawioną jego słudze.

— Powiadano mi, że oglądałeś oblicze Chrystusa?

— A oblicze to wskrzesiło mnie z martwych; dowiedz się, młody neofito, że jestem ten, o którym mówi pismo Apostoła. Bardzo ztąd daleko, w Judei, i w samemże mieście Mojżesza, żyła wdowa, pokornego ducha i smutnego serca; gdyż ze wszystkich węzłów, które wiązały ją do życia, jeden jej tylko pozostał, syn jej; i czułą kochała go miłością, gdyż jej przedstawiał podobieństwo tych, których utraciła. I syn ten umarł. Skruszoną została trzcina, na której się podpierała, a oliwa wyschła we wdowim dzbanie. Niesiono zmarłego na

(*) Pośpieszamy udzielić czytelnikom naszym kilku ustępów z tego pięknego romansu, w którym ulubiony angielski autor tyle talentu i erudycyi rozwinął. Do wyjątku, który będzie w późniejszych umieszczony numerach, dodamy krótką treść jego; dla zrozumienia następującego ustępu, dosyć jest wiedzieć, że Apecides, młody Kapłan Izydy, poznawszy fałszywość obrzędów pogańskich, przekonany i zniewolony wymową Olinta, przyjął wiarę chrześcijańską i dniem pierwej był ochrzcony. *Przyp. Red.*

marach, a przybywszy do bram miasta, gdzie tłum się zgromadził, nagle zatrzymał się krzyk boleści, gdyż Syn Boży przechodził. Matka, idąca za pogrzebem, nie szlochała głośno, ale wszyscy, co na nią patrzeli, widzieli, że serce jej było rozdarte. A Pan ulitował się nad nią, i dotknął się trumny, mówiąc: »Młodzieńcze, wstawaj, rozkazuję ci.« A zmarły się obudził i spojrzał na oblicze Pana. O! jakże to czoło było pogodne i poważne, jakże trudno uśmiech jego opisać, jakże ta twarz, kłopotami boleści strudzona, jaśniała jednakże bozką łagodnością! Wstałem, przemówiłem; znowu byłem żywy w objęciach matki. Tak jest, widzisz we mnie wskrzeszonego z pomiędzy zmarłych! Lud wydał okrzyki radości, pogrzebne trąby zabrzmiały weselną pieśnią; wszyscy powtarzali: »Bóg lud swój nawiedził!« Nie słyszałem ich; nic nie czułem, nic nie widziałem, prócz oblicza Odkupiciela.

Starzec zatrzymał się do żywego wzruszony, a młodzieniec uczuł swą krew ścinającą się lodem, włosy powstające na głowie. Stał więc w obec człowieka, któremu znane były tajemnice śmierci!

— Aż dotąd, — mówił dalej syn wdowy, — byłem podobnie jak inni ludzie odurzony.... lecz nie zupełnie zepsuty; miłość i życie były jedynym celem moich myśli. Przyznam się nawet, żem miał pociąg ku ciemnym obrzędom Saduceuszów. Ale przebudzony z pomiędzy zmarłych, z łona straszliwych i odludnych snów, których nie wolno jest tym ustom kiedykolwiek objawić; przywołany na ziemię, aby poświadczyć potęgę niebios; stawszy się znowu śmiertelnym, bywszy świadkiem nieśmiertelności, grób nowe nadał mi istnienie. O! nieszczęśliwa Jerozolimo! Widziałem tego, który mi powrócił życie, skazanego na śmierć okropną! Zdala z pomiędzy tłumu widziałem, jak światłość zatrzymała się i błyszczała ponad krzyżem; słyszałem złorzeczenia pospólstwa; krzyczałem w głos, wpadłem w obłąkanie, groziłem, nikt nie słuchał; głos mój gubił się w odmęcie tylu tysięcy głosów! Lecz wówczas nawet, wpośród jego i moich męczarni, zdawało mi się, że oko Zbawiciela, wkrótce zagasnąć mające, jeszcze oka mojego szukało; że usta jego uśmiechały się do mnie tryjumfując ze śmierci; nakazywały mi milczenie, i stałem się spokojniejszy. Czemże był grób dla tego, który go przemógł i łup mu jego wydarł? Słońce oświeciło ukośnie blade i potężne jego rysy, a potem znikło. Ciemności pokryły ziemię; nie powiem jak długo trwały. Krzyk dał się słyszyć z łona nocy, krzyk ostry i przenikliwy!... a potem znowu wszędzie osiadło milczenie. Ale któż zdoła opisać okropność tej nocy? Przebiegłem miasto; ziemia drżała, domy zatrzęsły się aż w samych posadach; żywi opuścili ulice, lecz nie *zmarli;* widziałem, jak się przesuwali w cieniu, grobowemi owinięci całuny, zgrozę, przestrach, przepowiednię mając wyrytą na świętych ustach i oczach zagasłych. Dotykali mnie przechodząc, patrzali na mnie; byłem niegdyś ich bratem, witali mnie skinieniem głowy na znak, że poznają; powstali, aby obwieścić żywym, że zmarli *powstać mogą.*

Tu starzec znowu się zatrzymał, a potem spokojniejszym już mówił głosem.

— »Od owej nocy porzuciłem wszelką myśl ziemską, pragnąłem tylko służyć Jemu. Opowiadacz i pielgrzym, przebiegłem najodleglejsze krainy ziemi, głosząc Jego bozkość, i sprowadzając nowonawróconych do Jego owczarni. Przybywam jak wiatr, jak wiatr oczyszczam, podobnie jak wiatr zasiewając ziarna, bogacę ziemię.«

»Mój synu, nie ujrzymy się już więcej na tej ziemi. Nie zapominaj godziny, w którejś mnie widział; czemże są rozkosze i przepychy życia? Podobnie jak lampa, życie błyszczy przez godzinę; lecz światło duszy jest gwiazdą, która pała na zawsze w nieograniczonem przestworzu.«

Rozmowa ich toczyła się dalej o szczytnej nadziei nieśmiertelności; pocieszyła i wzniosła duszę młodego neofity. W nowej swojej wierze podobny był do więźnia, któremu niedawno powrócono światłość niebios, a który cały jeszcze przejęty jest wilgotnemi wyziewy lochu, w którym tak długo żył zamknięty.

Uderzająca była różnica pomiędzy chrystyjanizmem starca a Olinta; wiara jego była łagodniejsza, bardziej zniewalająca, bardziej bozka. Heroizm Olinta przeciwnie był dziki i niepobłażający. Potrzebny był do roli, którą młodzian ten przeznaczony był odegrać; była-to raczej odnoga męczennika, aniżeli miłość ku bliźnim Świętego. Obudzał, podniecał, zachęcał, bardziej niżeli zniewalał i łagodził; ale serce bozkiego starca całe było przepełnione miłością Boga; uśmiech Chrystusa

wyniszczył w nim zaród ziemskich namiętności, i obok sprężystości bohatyra; pozostawił mu łagodność dziecięcia.

— »A teraz, — rzekł, wstając nareszcie, — gdy ostatni promień słońca zachód uzłocił, teraz, po chłodzie wieczornym, puszczę się w drogę do cesarskiego Rzymu. Tam żyje jeszcze kilku świętych ludzi, którzy podobnież jak ja oglądali oblicze Chrystusowe, a których pragnę widzieć nim umrę.

— Lecz noc jest za zimna na twój wiek, ojcze, i droga jest długa, i zbójców gęsto; wypocznij do jutra.

— Synu, i cóż jest w tych sakwach, coby znęciło złodzieja? Noc zaś i samotność tworzą stopnie, około których zgromadzają się aniołowie, i we śnie przynoszą mi widzenie Boga. Ach! nikt wiedzieć nie zdoła, co wie pielgrzym w czasie świętobliwej swojej drogi; żadna nie dręczy go obawa, nie przewiduje żadnego niebezpieczeństwa, gdyż Bóg jest z nim! Wiatr radosne wieści mu przynosi; lasy śpią pod cieniem skrzydeł Odwiecznego; gwiazdy są pismem niebios, zakładem miłości, nieśmiertelności świadectwem. Noc jest dniem pielgrzyma.

Dokończając słów tych starzec, przycisnął do serca Apecidesa; a wziąwszy w ręce kij i sakwy, podczas gdy piesek wesoło biegł przed nim, puścił się w dalszą drogę, wolnym krokiem i ze spuszczonemi oczyma.

Długo neofita ścigał go spojrzeniem; lecz wkrótce drzewa ukryły go przed jego wzrokiem, gwiazdy zaczynały błyszczeć na niebie, wyrwał się raptem z zamyślenia, przypomniawszy sobie, że nadeszła godzina schadzki z Olintem.

ROZYNA
CZYLI
DWAJ MURZYNI.
(Powieść amerykańska.)

Podczas, gdy wyspa Swiętego Wincentego zaburzoną była przez dzikich Karaibów, pewnego wieczora osadnik Belgrave wpadł zadyszany do jednej z chat plantacyj, leżącej w żyznej dolinie, ponad którą wznosi się siarczarnia (*la Soufrière*, góra wulkaniczna), a która w tej chwili dosyć była oddaloną od widowni wojennej; cały krwią zbroczony, która płynęła mu z czoła, cięciem szabli rozwalonego, wpadł do izby, trzymając dziecię na ręku; murzyn, którego nazywał Mustafą, wbiegł za nim, niosąc małą szkatułkę, której ciężar zdawał się go jednak obarczać.

— »Chwyćcie oręże, brońcie się, — zawołał Belgrave; — Karaibowie nas ścigają... zabili... zamordowali... moją żonę... moją biedną Emiliję... Wydarłem im córkę... Oto jest drogie dziecię! lecz na Boga! spieszcie się, uzbrójcie się... czas nagli! Mustafo! porzuć tę szkatułę; niech zaginą raczej wszystkie skarby moje, niżeli dziecię! Bierz moją córkę, to skarb mój najdroższy; pilnuj jej dobrze, schroń się z nią; ja się zajmę obroną.«

Na głos Belgrava wszystkie kobiety uciekły do szopy i ukryły się pod stosem trzcin cukrowych; Mustafa postawił szkatułkę w kącie izby, porwał dziecię i zaniósł je do szopy, a Belgrave tymczasem, wielkiemi krzyki zwolując niewolników, zaczaił się w zasadzce. Karaibowie przypadli, zrabowali wszystko; walka z obu stron była zacięta. Odparci jednakże ciągłym ogniem Belgrava i osadników, dzicy schronili się w nieładzie do szopy, znaleźli Mustafę, zagłuszyli go uderzeniem maczugi, wydarli mu dziecię, które natychmiast poznali, i zaczęli uciekać ku wąwozowi, który im służył za schronienie. W głębi jego potok szumiał; już na drugim byli brzegu, gdy Belgrave, Mustafa i kilku jezdnych, ścigając ich uporczywie, stanęli ponad przepaścią. Ujrzawszy ich olbrzymi Karaiba, który trzymał na ręku dziecię Belgrava, zagroził rzucić je w potok, jeżli najmniejszy krok nieprzyjacielski wymierzony będzie przeciwko jego bandzie. Wówczas Belgrave rzucił się zatrzymać broń wymierzoną przeciwko zbójcom. Lecz szybki jak błyskawica Mustafa już przebył potok bardziej łoskotny niżeli głęboki, utopił sztylet w sercu Karaiba, i wydarł dziecię Belgrava; oddawał je ojcu, gdy zabójcza kula, przeznaczona pewnie Mustafie, ugodziła w piersi nieszczęśliwego osadnika, który zaledwie miał czas wyrzec te słowa: Córka moja!... Mustafo!... żegnam was!...

Pod zachroną jezdnych, Mustafa oddalił się spiesznie, przytulając do serca maleńką Kreolkę.

Zacięta owa wojna zwolniała zaledwie przy końcu marca 1795, gdy Sir Abercombie stał się panem wyspy Świętej Łucyi, i przeciął wszelką komunikacyję z Karaibami.

Popełnili jeszcze kilka zabójstw i rozbojów; ulegli nakoniec przewyższającej sile, ze wszech stron na nich napierającej.

Osadnik Malburn, właściciel posiadłości w pobliżu siarczarni, przyjął wiernego Mustafę i sierotę Rozynę, i zajął się jej wychowaniem. Majątek Belgrava, niegdyś bardzo znaczny, niezmiernie został zmniejszony przez napaść Karaibów. Szkatułka, którą przyniósł Mustafa, zawierająca złoto, klejnoty i ważne papiery, zniknęła; przypuszczano, że ją zbójcy porwali; pożar zniszczył zabudowania cukierniane i wszystkie plantacyje; że trzystu murzynów, dwie trzecie części zostały zamordowane, znaczna część schroniła się na wyspę Świętej Łucyi i Gwadelupy; ośmnastu tylko zostało sposobnych do pracy. Tak mała liczba rąk nie mogła rozpocząć zatrudnień, których wymagała plantacyja Belgrava. Mustafa proponował opiekunowi córki swojego Pana, aby wziął ich do siebie, dozwolił im pracować wraz ze swymi niewolnikami, a grunta wydzierżawić któremu z sąsiednich osadników. Malburn na wszystko przystał; powierzył wiernemu Mustafie dozór nad ośmnastu niewolnikami, i cały z nich zysk jemu przeznaczył. Ten użył dochodu na zakupienie innych niewolników, i tak się starał gorliwie, iż 1812 r. Rozyna, młoda jego Pani, gdyż tak ją zawsze nazywał, posiadała, dzięki jego bezstronności, piędziesięciu najpiękniejszych murzynów z całej osady, nie licząc w to dzieci. Mustafa powziął wówczas zamiar objąć w posiadłość wydzierżawioną plantacyję i dawniejsze rozpocząć prace; lecz zbywało mu na pieniądzach, a Mustafa bynajmniej tego nie rozumiał, co to jest pożyczać na hypotekę.

Rozyna miała lat siedmnaście; kibić wysmukła i giętka, rysy najpowabniejsze, piękne, pełne wyrazu czarne oczy, gęsty las włosów, których krucza barwa zachwycającą stawiała sprzeczność ze śnieżną jej białością, czyniły ją najpiękniejszą ze wszystkich dziewic osady.

W tymże właśnie czasie przybył na wyspę Świętego Wincentego synowiec wspaniałego opiekuna Rozyny. Karol Malburn, był-to młodzieniec odznaczający się znakomitemi talenty, a który do najpiękniejszych przymiotów łączył powabne rysy twarzy i obejście ujmujące. Na wezwanie stryja opuścił Londyn i przebył Atlantyk, aby odziedziczyć szczątki majątku, który umierając ojciec mu zostawił. Dziedzictwo to wymagało jego przytomności w osadzie; gdyż ojciec jego, starszy z Malburnów, roztrwonił majątek, rozdając każdemu i nigdy nie umiejąc stosownie odmówić.

Niepodobna, aby Karol, młody, żywą obdarzony wyobraźnią, w którego żyłach płynęła gorąca krew indyjska, którego nadewszystko nie zepsuło jeszcze zetknięcie się ze światem, pozostał nieczuły na wdzięki Rozyny, pod jednym przemieszkując z nią dachem i widząc ją codziennie.

Tak bywa zwykle, może mi kto powie; czy to zwykle, czy nie, Karol jednak namiętnie pokochał Rozynę. *(Dokończenie nastąpi.)*

B A B E L.

Pożyteczne wynalazki, podobnie jak nasienia roślin, wzrastają i dojrzewają w cichości: owoce ich zbierają się bez trudu, ludzie pospolici korzystają z nich, nie pytając zkąd pochodzą, i ani domyślając się nawet, ile pracy kosztowały.

Bailly.

Są występki, które wyłącznie są skutkiem innych występków: podciąwszy pień, giną i gałęzie.

Pascal.

Herder i Schiller, obadwaj chcieli zostać chirurgami w młodości, lecz los im tego nie dozwolił. — »Istnieją, — rzekł im, — rany daleko głębsze, niżeli rany ciała; leczcie je!« — I obaj zostali poetami.

Richter.

Rzeki, są-to chodzące drogi, które nas niosą tam, gdzie pójść chcemy. *Pascal.*

Nic mnie tak nie gniewa, jak gdy mnie kto nie nieznaczącem i oklepanem zbija zdaniem, a powody moje pochodzą z głębi mego serca!

Goethe.

Oddalenie tem jest dla miłości, czem wiatr dla ognia: gasi mały, a rozpłomienia wielki.

Dusza czysta jest tem przez cnotę, czem anioł z natury. *Chateaubriand.*

Groby są pomiędzy ludźmi kartami ich dziejów.

Chateaubriand.